

Józef Piłsudski

Przemówienie wygłoszone na bankiecie w Hotelu Bristol

(3 lipca 1923 roku)*

Szanowni panowie!

W przemówieniach, które słyszałem, brzmiały nuty, których nie chcę poruszać, nuty tej natury, od której się już odzwyczaiłem. W przeciągu pięciu lat prawie pędziłem czas na pracy, przy której swobodny nigdy nie byłem, swobodny być nie mogłem, gdyż urząd, który w Polsce pełniłem, nakładał mi zawsze na usta pieczęć milczenia. Byłem bowiem reprezentantem, a źle spełnia reprezentant swoją rolę, gdy tylko pamięta o sobie, a nie pamięta o innych, nie pamięta o tych, których reprezentować jest obowiązany. Dzięki temu musiałem żyć w otoczeniu najrozmaitszych potwornych baśni, najrozmaitszych legend, najrozmaitszych śmiesznych nieraz opowiadań, które mnie się tyczyły, które ze mnie wyrastały, a tak dalekie były od tego rzeczywistego skromnego człowieka, który tu przed wami stoi. I jeśli dziś, w dniu, w którym, jak sobie mówię, staję się obywatelem wolnego i łatwego dla siebie powietrza, to w tej chwili chcę serdecznie podziękować inicjatorom dzisiejszego bankietu, że w tej pierwszej, dziewiczej, że tak powiem, swobodnej mowie, mogę swobodnie niektóre zdania powiedzieć, które przedtem by wyglądały, jak zdania nieodpowiednie w ustach człowieka, pełniącego urząd reprezentacyjny.

Szanowni panowie! Pomimo woli biegnie się do przeszłości, mając w swym wspomnieniu pięć lat życia, pięć lat życia, przebytego w takim wirze wypadków, w takim chaosie zdarzeń, w takim przewrocie dotychczasowych ludzi i rzeczy, w takim dziwnym życiu! Szuka się w „zamierzchłej” przeszłości początków tego okresu, okresu, gdy Polska powstawać zaczęła. I wobec tego, że to jest tak znacznie oddalone, że można mówić o rzeczach prawie jak o historii i że jestem człowiekiem, który historię lubi, który nad historią się zastanawiał i który w niej nieraz szukał rozwiązania zagadnień terażniejszości i wskazówek dla przyszłości, więc w tej pierwszej mojej mowie zatrzymam się na tych pięciu latach, jak na historii. A że historia tak jakoś działała, że w przyszłym skorowidzu historyka, który o tych latach pisać będzie, imię moje będzie powtarzane i cały szereg cyfr i cyferek oznaczać będzie stronicę, na których imię moje jest wspomniane, przypuszczam, że mogę zaspokoić swój egoizm, zupełnie naturalny, i o sobie z okresu tych pięciu lat parę słów powiedzieć.

* Tekst przemówienia cyt. za: J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe. Wydanie prac dotychczas drukiem ogłoszonych. Tom VI*, Instytut Józefa Piłsudskiego Poświęcony Badaniu Najnowszej Historii Polski, Warszawa 1937 (reprint: Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1990), s. 24–35.

Moi panowie! W listopadzie 1918 r. stał się wypadek bynajmniej nie historyczny, ale taki sobie zwykły. Mianowicie – z dworca wiedeńskiego, jak się to zawsze ze wszystkimi teraz dzieje, przeszedł przez ulicę Marszałkowską itd. na ulicę Moniuszki człowiek, którego będziemy nazywali Józefem Piłsudskim. Szedł w tym mundurze, w jakim obecnie mnie panowie widziecie. Wracał, co prawda, z niezupełnie zwykłej podróży, wracał z Magdeburga. Wracali też w tym czasie z tych czy innych obozów dla internowanych i inni. I w tym też nic nie ma niezwykłego, w tym też nic nie ma historycznego. Historia zaczyna się później, historia niezwykła, nad którą nieraz się zastanawiałem w ciągu tych pięciu lat i szukałem odpowiedzi na pytania, które, przypuszczam, przyszłych historyków będą męczyły jeszcze bardziej wobec tego, że nie będą mieli naocznych świadków tych zdarzeń. Stała się rzecz niesłychana. Mianowicie – w przeciągu kilku dni, bez żadnych ze strony tego człowieka starań, bez żadnego z jego strony gwałtu, bez żadnego podkupu, bez żadnych koncesyj, czy to leśnych, czy jakichkolwiek innych, bez żadnych w ogóle i jakichkolwiek „legalnych”, że tak powiem rzeczy, stał się fakt najzupełniej niezwykły. Człowiek ten stał się dyktatorem. Wtedy, kiedy się przygotowywałem do dzisiejszego przemówienia, zastanawiałem się nad tym określeniem: „dyktator”. Nie chcę użyć jakiegoś wyszukanego słowa, nie chcę szukać dla siebie jakiejś specjalnej nazwy, szukam tylko, jako historyk, określenia zjawiska, którego inaczej nazwać nie można. Bo człowiek ten wydawał edykty, powszechnie słuchane, człowiek ten wydawał rozkazy, słuchane biernie z chęcią czy z niechęcią, ale które były wykonywane, człowiek ten mianował urzędników wojskowych i cywilnych. Czy on robił źle czy dobrze, ja w tej chwili tego nie dotykam, idzie mi o sam fakt, o fakt ścisły, o fakt historyczny. Inaczej tego określić nie mogę, jak tylko mianem dyktatora. Bo wszystko wtedy zależało od jego dobrej woli, od jego decyzji, od jego złej czy dobrej kalkulacji. Biernie czy czynnie, chętnie czy niechętnie, miliony mu ulegały, miliony jego jednego wyniosły w górę, miliony ludzi zdobyły się na akt dziwaczny, na akt niezrozumiały dla zwykłej analizy, aby tak niezwykłą władzę dać temu człowiekowi bez żadnych z jego strony gwałtów lub narzucania. Dziś, gdy tyle jest praw i prawidełek, gdy tyle jest ograniczeń i zakazów, gdy panowie posłowie tak produkcyjnie pracują – rzecz ta wygląda tak niezwykle, że godna jest zatrzymania uwagi. Jestem przekonany, że i przyszły historyk nad tym właśnie będzie musiał się zatrzymać. Dlaczego, po co i na co i z jakiej racji? Dlaczego ten, a nie inny? Skąd i co za przyczyna? Skąd to dziwne zjawisko, które nagle w Polsce zaistniało?

Moi panowie! Analizując po trosze to zjawisko, nie sięgając głębiej, biorąc rzecz po ludzku, biorąc rzecz tak zwykle, jak się szklankę wody wypija, jak się myśli, jak się decyduje, nie mogę nie powiedzieć, że gdyby ten osobnik nie był nikomu absolutnie znany, gdyby nagle ni stąd, ni zowąd był wziętym, to ten fakt nie byłby możliwy. Czemu należy to, moi panowie, przypisać, gdzie szukać tej przyczyny, że temu człowiekowi, znanemu potem w skorowidzu historycznym, jako Józef Piłsudski, oddano tę władzę? Dlaczego jemu w sposób, tak sprzeczny z rozumem, rozsądkiem, logiką teraźniejszą

władzę oddano? Skąd ten dyktator Polski, nie narzucający swojej władzy żadnym gwałtem, żadną pracą agitacyjną, nie robiący sobie popularności za pomocą takich czy innych wystąpień? Skąd to zjawisko? I gdy szukałem dla siebie wyjaśnienia, zawsze znajdowałem tylko jedno – nie w tych obrazach, które mi przyjemność sprawiały osobiście, a które mi mój przyjaciel, dr Michałowicz, wywołał, lecz w czymś innym. Za jedną rzecz ten człowiek był witany, za jedną rzecz niezwykłość jego mogła być uznana, za jedną rzecz, powtarzam, mógł on mieć prawo moralne do zajęcia tego stanowiska, za to, moi panowie, że nosił ten mundur, za to, że był Komendantem I Brygady. Jedyłą wartością, którą ludzie wówczas mieli, jedyną moralną siłą, która ludzi do posłuszeństwa zmuszała, jedyną moralną siłą, która miliony ludzi w ręce mu oddawała, był fakt, że był on Komendantem I Brygady i wracał z Magdeburga.

Szanowni panowie! Jeśli użyję tu wyrażenia – dyktator, to dlatego, że przypuszczam, że nawet niektóre z jego edyktów i dekretów jeszcze teraz działają, jeszcze teraz moc prawną mają, jeszcze teraz są ludzie, którzy muszą ulegać edyktom, przez niego wydanym i podpisanym jego nazwiskiem. Bardzo mnie to cieszy. I mógł on tworzyć złe czy dobre rządy, wyznaczać oficerów, urzędników, przerzucać ich z miejsca na miejsce, pewnych ludzi na śmierć posyłać, dawać rozporządzenia mądre lub nie – to jest obojętnym, faktem jest, że był władcą absolutnym nowotworzącego się państwa polskiego. Faktem też jest, że dzięki temu nieprzymuszonemu zjawisku, dokonanemu bez żadnego gwałtu i bez żadnego przewrotu, imię tego człowieka zostało wysunięte w górę. Nowa Polska dała słusznie czy niesłusznie przy swoim pierwszym kroku symbol swój w postaci człowieka, ubranego w szary, dość obszarpany mundur, zaplamiony w więzieniu magdeburkim.

Moi panowie! Pozwólcie, iż nad tym faktem, dość ważnym, uwagę waszą zatrzymam. Jest on faktem ścisłym, jest on faktem historycznym i pomimo, iż należy do bardzo zamierzchłej przeszłości, to jednak oczy wasze ten fakt widziały, jednak świadkami jego byliście i bez względu na to, jak tam w tej czy innej redakcji, w tym czy innym gabinecie, w tej czy innej rozmowie do tego faktu odnoszono się, to jednak fakt był faktem. Zastanawiałem się trochę nad nim, jako nad zjawiskiem moralnym. Znając historię dyktatur wszelkiego rodzaju i z operetki, i nie z operetki, z dramatu i tragedii całej ludzkości, zastanawiałem się nad tym, jak się dyktatury tworzyły. Zwykle drogi są tu dwie – jedna gwałtu i narzucenia swojej władzy – te wypadki w historii narodów są częste; druga – swobodnego wyboru, wyboru ludzi, którzy w chwili ciężkiej, gdy najbardziej potrzeba woli indywidualnej, gdy umysły są zatrwożone, szukają jednego człowieka, żeby jemu los swój w ręce oddać. Tu nie było ani jednego, ani drugiego wypadku. Nie było ani wyboru, nie było też gwałtu. Stał się fakt całkowicie inny, fakt moralnej pracy narodu, znajdującego się, co prawda, w wyjątkowej sytuacji i położeniu.

Moi panowie! Ten fakt moralnej pracy, której dokonał w tym czasie naród, nie jest moją historią, jest historią wszystkich tych milionów ludzi, którzy wtedy tego dyktatora słuchali, którzy nawet z minami czy grymasem niechętnym jemu się poddawali. Faktem jest, że tak było. Ta moralna praca, której dokonał wtedy wielomilionowy

naród, jest faktem niezwykłym. Był on jak gdyby zaprzeczeniem tej smutnej dalekiej tradycji i tej smutnej sławy, którą naród nasz miał w przeszłości. Polska, sami Polacy to twierdzili, nierządem stoi. Polska to jest prywata, Polska to jest zła wola. Polska to jest anarchia. I jeśliśmy po upadku mieli sympatię dla siebie, to nigdy nie mieliśmy szacunku dla siebie. Nie zaufanie, a niepewność wzbudzaliśmy i stąd chęć narzucania nam opiekunów, wyznaczonych dla narodu anarchii, niemocy, samowoli, dla narodu, który się do upadku doprowadził prywata, nieznoszącą żadnej władzy. I w tym narodzie powstał fakt tak niezwykły i tak dla niego oryginalny.

Moi panowie! Dumny jestem z tego faktu, dumny jestem nie tylko dlatego, że mnie ten zaszczyt spotkał, ale dumny byłem również ze swego narodu. Nie idzie mi, raz jeszcze powtarzam, o moją wartość lub o moją bezwartość, nie idzie mi o ocenę krytyczną tej czy innej mojej pracy, o wskazanie tego lub innego błędu lub tej czy innej cnoty. Idzie o sam fakt historyczny, który swoją nowością w Polsce i swoją niezwykłością metody zastanawiać będzie musiał każdego historyka.

Przyjmując za podstawę tego faktu moją poprzednią pracę w I Brygadzie, dumny jestem z tej mojej pracy.

Szanowni panowie! Dyktatorem byłem kilka miesięcy. Decyzją moją głupią czy rozumną, to jest wszystko jedno, postanowiłem zwołanie sejmu, oddanie władzy mojej w jego ręce i stworzenie legalnej formy życia państwa polskiego. Była to moja decyzja. Decyzja ta została usłuchana. Panowie posłowie, którzy potem nieraz przeciw mnie występowali, zostali wybrani na mój rozkaz, tego rozkazu usłuchali, wybór przyjęli, na określony przeze mnie termin do Warszawy się stawili, wyborcy w odpowiednim miejscu, również przeze mnie wyznaczonym, zebrali się i głosy swe oddali; urzędnicy, wyznaczeni przeze mnie, oceniali sprawność wyborów. Wybory były nieprzymuszone, nie szukałem w nich, jak i poprzednio, mojej osoby.

Sejm się zebrał 8-go lutego. Otworzyłem go, moi panowie, w tym samym mundurze Komendanta I Brygady, przemówiłem do sejmu w tym samym mundurze, przy boku miałem szablę, ofiarowaną mi przez oficerów I Brygady, nie byłem niczym innym, jak tym, czym byłem poprzednio.

W parę tygodni potem stał się nowy fakt historyczny, nowy akt wybrania mnie jednogłośnie w sejmie na Naczelnika Państwa Polskiego i Naczelnego Wodza wojsk, znajdujących się w tym czasie w Polsce. Ten fakt również wzbudził we mnie zastanowienie. Z jednych zaszczytów szedłem do drugich.

Po kilku miesiącach najśmielsze marzenia któregokolwiek Polaka w niewoli ziściły się we mnie. Gdyby ktokolwiek miał najśmielszą ambicję, gdyby ktokolwiek chciał władzy, gdyby ktokolwiek „per fas et nefas” szukać jej chciał w Polsce, to ziszczęciem tych marzeń byłoby to stanowisko, które mi wówczas dano, wbrew mojej woli i chęci, bo ja tego nie szukałem, ja się nawet targowałem, gdyż życzyłem sobie czego innego i szukałem czego innego. Szukałem wojska i szukałem dla siebie łatwego powietrza i łatwej pracy wojskowej. Dano mi wszystko do rąk. Dla upiększenia mojej pracy, dla upiększenia moich wspomnień, dla honoru i zaszczytu moich dzieci dano

mi miano, które u nas dziecko, nieledwie, gdy wymawiać słowa polskie zaczyna, wspomina je z czcią – dano mi nazwisko „Naczelnika”, imię, które łyzy wyciska, imię człowieka, który pomimo, że umarł, żyje zawsze, wielkie imię Kościuszki. To imię Naczelnika nowotworzącego się państwa, Naczelnika, który w jednym ręku władzę cywilną i władzę wojskową ma piastować, któremu wyjątkowe prawa nadano, ażeby mógł w wyjątkowej sytuacji wyjątkową pracę dawać, to imię zostało mnie ofiarowane. Znowu, moi panowie, stwierdzam, że żadnego gwałtu, żadnej korupcji, żadnej koncesji, żadnej próby zmuszania kogokolwiek, żeby w tej chwili rękę za mną podniósł czy głos swój za mną oddał – nie było. I znowu, panowie, stanąłem w tym samym mundurze, w tym samym mundurze Komendanta I Brygady, nie znając żadnego innego w Polsce zaszczytu, oprócz mojej poprzedniej dyktatury.

Proszę panów! Zaszczyty, honory, zaufanie, jednozgodnie wyrażone, znowu wywołały mi gdzieś z zamierzchłej przeszłości wspomnienia dawne, wspomnienia przeklęte, gdzie były te sejmy, które kiedyś, bezładne i krzykliwe, o jednozgodność wołały i nigdy tej jednozgodności nie miały, gdyż jeden człowiek przez swawolę, jeden człowiek, płatny szpieg, o duszy pełnej brudu, mógł pracę państwa zniweczyć. Gdzie te wspomnienia, gdzie posłowie i dygnitarze, na obcym żołdzie, w obcych kieszeniach, w obcych będących rękach, obcych słuchający rozkazów, płaszczący się, jak gad, przed obcymi, a tak dumni, a tak panoszący się w domu?! Gdzie te wspomnienia? Pierzchły, zginęły, bo znowu był akt moralny, akt odrodzenia. Znowu jest jednozgodność, ta niegdyś żądana, ta niegdyś wymarzona, ta niegdyś krzyczana i okrzyczana, ta jednozgodność w jednym akcie. Czy ktokolwiek to robił pod strachem, czy przez przyzwoitość, czy z powodu niemożności znalezienia innego wyjścia, czy kto robił to biernie, czy czynnie – to jest wszystko jedno, fakt jest, fakt historyczny, który skupił się na mojej osobie.

Powtarzam raz jeszcze, że nie znam faktu tak dziwnego, nie znam faktu tak śmiesznego w swojej prostocie, jak ten, który jednego człowieka, tak mało znanego, tak mało odczutego, tak mało żytego z całym tym społeczeństwem – bo wśród posłów znałem może kilkunastu, wszyscy inni byli mi obcy ludzie, którzy mnie nie znali, którzy nic nigdy nie widzieli w moim życiu – wynosi na to stanowisko bez żadnego gwałtu, przymusu, bez żadnej agitacji, a nawet wbrew jego woli, gdyż tego nie szukał, daje mu dobrowolnie władzę tak wybitną i tak wyjątkową.

Kazano mi wreszcie reprezentować siebie, wszystkich w Polsce na zewnątrz i wewnątrz. Jeżeli przedtem mogłem tłumaczyć zjawisko jakimś zamęceniem, jakąś nieumiejętnością – to w tym wypadku ludzie wybrani, mający czas do namysłu, do narad, do krytyki każdego swego postanowienia – dają mi poza tym, co miałem poprzednio, dają mi siłę moralną, którą każdy człowiek mieć może, gdy takim obdarzony jest zaufaniem, gdy to zaufanie w taki manifestacyjny, w taki uroczysty, w taki niezwykle sposób się wyraża. Lecz odtąd, panowie, te piękne zaszczyty, cudne jak z bajki tysiąca i jednej nocy, odtąd historia się zmienia. Postawiono mnie tak wysoko, jak nigdy nikogo nie stawiano, postawiono mnie tak, bym cień na wszystkich rzucał, stojąc jeden w świetle.

Był cień, który biegł koło mnie – to wyprzedzał mnie, to zostawał w tyle. Cieniów takich było mnóstwo, cienie te otaczały mnie zawsze, cienie nieodstępne, chodzące krok w krok, śledzące mnie i przedrzeźniające. Czy na polu bitew, czy w spokojnej pracy w Belwederze, czy w pieszczotach dziecka – cień ten nieodstępny koło mnie ścigał mnie i prześladował. Zapluty, potworny karzeł na krzywych nóżkach, wypluwający swoją brudną duszę, opluwający mnie zewsząd, nie szczędzący niczego, co szczędzić trzeba – rodziny, stosunków, bliskich mi ludzi, śledzący moje kroki, robiący małe grymasy, przekształcający każdą myśl odwrotnie – ten potworny karzeł pełzał za mną, jak nieodłączny druh, ubrany w chorągiewki różnych typów i kolorów – to obcego, to swego państwa, krzyczący frazesy, wykrzywiający potworną gębę, wymyślający jakieś niesłychane historie, ten karzeł był moim nieodstępnym druhem, nieodstępnym towarzyszem doli i niedoli, szczęścia i nieszczęścia, zwycięstwa i klęski. Nie sądzicie, panowie, że to jest tylko metafora, ja zacytuję tylko kilka faktów, takich potwornych, dzikich, że trudno pojąć, z jakiej kadzi nieczystości zarazić trzeba sobie wyobraźnię, by podobne rzeczy wymyślić.

Reprezentant narodu, wybrany przez wszystkich, reprezentujący wszystkich – kradnie! Zbiera się komisja sejmowa, aby szukać skradzionych przez tego reprezentanta insygniów królewskich. Komisja sejmowa, obradująca pod egidą czy pod kierownictwem marszałka sejmu, szuka, śledzi, bada, poszukuje skradzionych przez tego reprezentanta rzeczy! Czy panowie coś bardziej potwornego, coś bardziej wstrętnego, coś bardziej oplutego pomyśleć możecie? Czy można mieć reprezentanta tego rodzaju? Pomyślcie sobie to gdzie indziej, wśród wolnych, swobodnych narodów: nasz reprezentant – złodziej! Nasz reprezentant zdradza kraj w czasie wojny, umawia się z nieprzyjacielem! Naczelnny Wódz, prowadzący wojnę, jest zdrajcą! Gdzież na niego kara?! Czy jest próba usunięcia go? Czy jest próba pociągnięcia go do odpowiedzialności? Czy jest próba zrobienia go odpowiedzialnym za te niebывałe zbrodnie? Nie ma! Idzie tylko o plucie, idzie tylko o kał wewnętrzny, którego pełna musiała być dusza, jeżeli na te rzeczy się zdobyła. Idzie o jakieś niesłychanie obrzydłe zjawisko duszy ludzkiej, która w ten sposób postąpić może. Potworny karzeł, wylęgły z bagien rodzimych. Bity po pysku przez każdego z zaborców, sprzedawany z rąk do rąk, płatny. Oto ci, którzy chcą obniżyć do swego poziomu to, co zostało wzniesione wysoko.

Moi panowie, powtarzam, nie znam, gdy nad ubiegłymi latami się zastanawiam, nie znam zjawiska bardziej stałego, bardziej metodycznie prowadzonego, jak to dotykane rodzinnych stosunków, przed którymi każdy człowiek się zatrzymuje, jak to dotykane moich przyjaciół, mojego otoczenia, każdego nieledwie człowieka, który się do mnie zbliżył, brudnymi rękoma, brudną duszą, brudnymi słowami i brudnym, stęchłym powietrzem.

Nie znam, moi panowie, zjawiska bardziej stałego, gdy przebiegam swoją historię za ubiegłe lata!...

Miałem przyjaciół, którzy się zmęczyli i odeszli, miałem współpracowników, z którymi źle czy dobrze współpracowałem, którzy także w ten czy inny sposób ode mnie

odchodzili. Ale to paskudztwo duszy, które do mnie przylepiano, było tak nieodłączne, tak systematyczne, że gdy myślę o przeszłości, zawsze się oglądam, czy ubranie moje jeszcze nie cuchnie. A plucie to chrzczono wysokimi słowami, wysokimi hasłami. Była to praca tzw. narodowa, praca tzw. patriotyczna! Nie jest to tragizmem – dla mnie. Rzeczy takie rzadko się zdarzały na świecie, gdyż są one potworne, niemoralne, dzikie i wstrętne. Wylęgać się takie zjawiska mogą tylko w bagnie niewoli, przez które narody przechodzą.

Na rzucone mi tu przez p. Anusza pytanie, który, nie żegnając się ani witając, z niepokojem pyta, dlaczego ten nieodłączny pracownik państwa polskiego, którego niegdyś na wysokie regiony wzniesiono, ozdobiony tak wielkim imieniem i zaszczytami, dlaczego on opuszcza swoje stanowisko – odpowiem wprost: Szanuję swoją historię, szanuję ją dla siebie, szanuję ją dla dzieci. Szanuję ją dla przyszłych historyków, którzyby także w twarz mi napluli, gdybym razem z potwornymi karłami, którzy mnie obniżyć chcieli – pracował. Decyzja moja była bezpowrotna. Karty próbowały w ostatnim czasie zmienić swoje grymasy na uśmiech szczęścia z powodu spotkania mnie w tym czy innym miejscu. Zastanawiałem się, moi panowie, nad swymi czynami, nad wartością mej pracy, nad tym, co zrobiłem i czegom nie zrobił. Nie będę mówił i nie będę sobie przypisywał większych zasług, niż te, które mi świat przypisuje. Jeżeli mówią o mnie, że z narodem polskim rady sobie nie dałem – to przecież żadna krytyka, żadna śmiałość nie sięgnie po moje laury wojskowe. Okryłem chwałą oręż polski. Dałem w pierwszych dniach życia polskiego zwycięstwa tak błyskotliwe, tak nieznanne, tak gdzieś w zamierzchłej przeszłości słyszane, że dotąd tą sławą pierś żołnierska się koi. Doprowadziłem do zwycięstwa nad nieprzyjacielem, przed którym inni drżeli. Dlatego też zwróciłem się natychmiast po złożeniu urzędu najwyższego do pracy wojskowej. Zdolności, temperament, doświadczenie nabyte dawały mi łatwość pracy, więcej – dawały mi łatwiejsze powietrze. Moi panowie, pracę tę opuściłem, opuściłem ją zupełnie. Wniosłem dymisję i prośbę o zwolnienie z wojska. Dlaczego? Obowiązek żołnierza jest trudny. We Francji armię nazywa się „grande muette” – wielkim niemową. Wojsko milczeć musi i nieraz, panowie, swobodnie używający języka, nie wiecie, jak ciężko nieraz bywa oficerowi i żołnierzowi w kraju, gdzie tak swobodnie języki w buziach się płaczą, być tylko niemym świadkiem tego, co się dzieje, ścisnąć w sobie serca, myśl pracującą, aby się na zewnątrz nie wydobyła, zamknąć siebie. Ostrożnie, panowie, z tym instrumentem, ostrożnie, specjalnie z językami. Żołnierze należą do kasty obywateli bez praw, wtedy, kiedy wy pełnoprawni jesteście. Wszedłem do wojska, dając swą pracę – teraz opuszczam szereg. Dlaczego?

W tej samej chwili, gdy Belweder, miejsce zaszczytu, miejsce honoru Polski, opuściłem, wszedł tam inny człowiek, wybrany legalnie aktem uroczystym, podpisanym przez marszałka sejmu. Oddałem mu władzę zgodnie z Konstytucją. Na moje miejsce przyszedł dla reprezentacji narodu całego i wszedł na tę ścieżkę, którą ja po trosze przetorowałem, człowiek inny. Nie rozważam jego zalet ani wad, nie omawiam jego wartości. Człowiek ten, jak ja, został wyniesiony ponad innych, dobrowolnym

aktem włożono na niego obowiązek, że ma być naszym przedstawicielem, ma w pieczy mieć nasz honor, naszą godność. Ta szajka, ta banda, która czepiała się mego honoru, tu zechciała szukać krwi. Prezydent nasz zamordowany został po burdach ulicznych, obniżających wartość pracy reprezentacyjnej przez tych samych ludzi, którzy ongiś w stosunku do pierwszego reprezentanta, wolnym aktem wybranego, tyle brudu, tyle potwornej, niskiej nienawiści wykazali. Teraz spełnili zbrodnię. Mord karany przez prawo. Moi panowie, jestem żołnierzem. Żołnierz powołany bywa do ciężkich obowiązków, nieraz sprzecznych ze swoim sumieniem, ze swoją myślą, z drogimi uczuciami. Gdym sobie pomyślał na chwilę, że ja tych panów, jako żołnierz, bronić będę – zawahałem się w swoim sumieniu. A gdym się raz zawahał, zdecydowałem, że żołnierzem być nie mogę. Podałem się do dymisji z wojska. To są, moi panowie, przyczyny i motywy, dla których służbę państwową opuszczam.

Na zakończenie pozwólcie mi, panowie, zrobić małą symbolistykę. Długi czas pracowałem w gmachu na Saskim placu, gdzie, przechadzając się po wielkim gabinecie, rzucałem raz po raz okiem na ciemne, szare widoki Warszawy. I zawsze widziałem jakieś dziwne rzeczy – szarą płachtę, otaczającą jakąś dziwną postać. Naprzód szedł koń. Koń, idący ku słońcu, przerywający parkan, za nim na czworakach pełznąca postać ludzką. Ten widok nieraz mnie śmieszył... Ten widok bawił mnie swoją oryginalną konstrukcją rzeźbiarską. Gdzież tu jest myśl, gdzież tu jest idea, gdzie tu jest praca wielkiego artysty? Wielkie konisko, przerywające parkan, za nim z głową schowaną, jakby ze wstydu, na czworakach człowiek. To był nasz Naczelnny Wódz w przeszłości. Wrócił do kraju, szukał serca, szukał tego, czego dawno, dawno nie widział. Naczelnny Wódz Wojsk Polskich, bo takim był książę Józef Poniatowski. Gdzież ten piękny ułan, gdzież jest ta postać wyśpiewana, wymalowana? Gdzie ona jest? Oddano mu hołd i sztandary przed nim powiewały, grzmiały armaty, jak nieraz w bitwach. Stanął i patrzy. Gdzie są moi następcy? Gdzie w wolnej Polsce naczelnni wodzowie? Gdzie są moi koledzy? Ja zginąłem ongiś w błocie. Błoto przykryło mi oczy, błoto zasłoniło wzrok. Gdzie są oni? Na mnie pierwszego padł zaszczyt być Wodzem Naczelnym Polski. Ja hufce stawiałem, ja je rzucałem w bój. Na pomniku są słowa: „Honor i Ojczyzna”. Szukasz honoru? Znajdziesz twego następcę także w błocie, w błocie rodzimym! Błotem został napojony. Taki jest los naczelnnych wodzów Polski bez honoru. Polski, której serce drgać nie umie. Panowie, ten symbol naczelnnych wodzów Polski, z konieczności ginących w błocie, jest historią Polski dotychczasowej. Gdy patrzę na ten pomnik – mówię: I ja idę do błota. Szanowni panowie, tym symbolem chciałbym was pożegnać. Gdzie indziej w stosunku do reprezentantów państwa, nawet, gdy są nieuczciwi, ukrywa się to, czyni się wysiłki, by na reprezentancie plamy nie było, by błyszczał, jak tarcza. Gdzie indziej wódz naczelnny, który zwyciężył, jest czczony, spotykają go honory i zaszczyty, bo przecież on państwo, wyratował, przecież on ocalił od nieszczęścia wszystkich. U nas inaczej – wódz ma iść w błoto i tylko, gdy dostatecznie błota się napije, ma być godnym Polski. Proszę panów, przywołując wam na pamięć te rzeczy, streszczając historię pięciu lat ubiegłych, nie chcę wcale wywołać

efektu tragizmu. Chcę tylko stwierdzić, że to błoto jest i że ma ono powagę i znaczenie w Polsce. Chciałem stwierdzić, że jeżeli Polska w pierwszym okresie zdobyła się na naprawę Rzeczypospolitej, to potem powoli od naprawy do starych narowów powrót się zaczyna, i że, panowie, wielkich wysiłków pracy trzeba, aby Polskę znowu na drogę naprawy wypchnąć. Nie oskarżam nikogo, nie jestem ani prokuratorem, ani sędzią śledczym – szukam jedynie prawdy. Co do siebie, panowie, prosząc o pamięć, proszę zarazem o wielki, wielki odpoczynek, bym mógł łatwym powietrzem odetchnąć, bym mógł być takim wolnym i swobodnym, jak panowie, tak wesołym, jak byli moi koledzy z I Brygady, którzy mi największe zaszczyty swą pracą dali.